

Ryszard M. Machnikowski: Jeśli Le Pen wygra wybory, czyli Francja w geopolitycznej układance

Wpływ Marine Le Pen na politykę francuską jest znaczny nawet w chwili, gdy wciąż jest w opozycji, tym bardziej interesującym będzie zobaczyć, jak wzrośnie on, gdy stanie się częścią francuskiego aparatu władzy – przeczytaj artykuł Ryszarda M. Machnikowskiego w „Teologii Polityczna Co Tydzień”: Francuski wybór

Odpowiedź na to pytanie trąci fantastyką, nawet bardziej niż futurologią, i to w dodatku mocno nienaukową, należy zatem potraktować ją z przymrużeniem oka. Prawdopodobieństwo wyboru Marine Le Pen na prezydenta Francji jest wciąż dość niskie, więc najłatwiej byłoby odpowiedzieć – nic się nie stanie, gdyż nie zostanie ona prezydentem Francji. Jednak wygrana Le Pen po raz pierwszy w historii stała się *do pomyślenia* (kiedyś była wręcz absolutnie *nie do pomyślenia*), zatem samo pytanie nie jest całkiem bezzasadne. Roboczo przyjmę więc, zgodnie z intencją pytania, że Marine Le Pen wygra wybory prezydenckie, raczej w pierwszej niż w drugiej turze – wówczas spędzi pierwszy miesiąc swej prezydentury na zwiększaniu szans swojej partii – Frontu Narodowego – na dobry wynik w czerwcowych wyborach parlamentarnych. Ilość miejsc w parlamencie, które zdobędzie Front Narodowy, jest bowiem kluczowa dla dalszych losów jego przywódczyni i Francji. Należy się przygotowywać na kolejny okres we francuskiej polityce określany mianem *cohabitation*, czyli sprawowania funkcji prezydenta przez osobę, której partia znajduje się

w opozycji, oraz istnienia rządu, który formować będzie zapewne przyszła koalicja antylepenowska. Nie jest to nic nowego, gdyż takie sytuacje istniały we Francji wcześniej i to kilkakrotnie. Ewentualne zwycięstwo Marine Le Pen w wyborach prezydenckich zmusi bowiem wszystkie *mainstreamowe* siły polityczne we Francji do współpracy w celu zablokowania możliwości uzyskania przez Front Narodowy wyniku umożliwiającego objęcie władzy, co nawet w przypadku wygranej przez jego liderkę wyborów prezydenckich wydaje się niezwykle mało prawdopodobne.

Należy więc przypuszczać, że po wyborach parlamentarnych we Francji dojdzie do trudnego współistnienia skonfliktowanych ze sobą ośrodków władzy. Celem prezydent Le Pen w pierwszej kadencji będzie zatem zwycięstwo w drugiej kadencji, ale tym razem wsparte przez zwycięstwo jej partii w kolejnych wyborach parlamentarnych, co pozwoliłoby jej objąć realną władzę we Francji za 5 lat.

Ewentualne zwycięstwo Le Pen w wyborach prezydenckich nie powinno doprowadzić do zasadniczych zmian geopolitycznych, a jedynie do pewnych turbulencji w Europie.

Z kolei partie tworzące rządową koalicję będą starały się do tego nie dopuścić, najprawdopodobniej efektem tej rozgrywki będzie we Francji konwergencja

kluczowych przekazów partyjnych lub, nazywając to inaczej, postępująca „lepenizacja” polityki wewnętrznej i zewnętrznej tego kraju. Marine Le Pen jako przywódczyni Frontu Narodowego będzie kontynuowała działania, które przyniosły jej, w odróżnieniu od jej ojca,

rzeczywisty sukces polityczny, czyli łagodziła swój przekaz, by dalej poszerzać elektorat swej partii (choć oczywiście nie porzuciła głównych tez owego przekazu, które przecież były istotą owego sukcesu, a należy zakładać, że sytuacja społeczna we Francji nadal czynić je będzie nośnymi). Z drugiej strony, antylepenowska koalicja rządowa postara się przejąć część elementów programu Frontu Narodowego, zapewniających „siłę nośną” tej partii, by nie utracić własnych zwolenników na jej rzecz. Coś podobnego stało się już przecież w Holandii, gdzie premier Rutte przejął z sukcesem, jak mieliśmy niedawno okazję zauważyć, część przekazu Geerta Wildersa, co umożliwiło mu wyborcze zwycięstwo. Analogiczną sytuację obserwujemy przecież też i w samej kampanii wyborczej przed wyborami prezydenckimi we Francji, gdzie zarówno kandydat prawicy, Francois Fillon, by uchronić się przed strąceniem w polityczny niebyt, silnie zradyzował swój język, a idący w ostatnim czasie ostro w górę kandydat skrajnej lewicy, Jean-Luc Mélenchon, głosi w części niemal kopie „eurosceptycznych” i antyglobalistycznych poglądów, będących niegdyś cechą charakterystyczną Frontu Narodowego. Konwergencji przekazów w polityce francuskiej sprzyjać będzie także wielce prawdopodobne usunięcie „radykałów” z bezpośredniego środowiska prezydent Le Pen, będące zarówno efektem łagodzenia przekazu przez panią prezydent, jak i oddziaływania francuskiego tzw. deep state. Coś podobnego widzieliśmy niedawno w otoczeniu prezydenta Trumpa, gdzie ci jego współpracownicy i doradcy, którzy mogliby stać się zagrożeniem dla sprawowania przez niego władzy, zostali bezlitośnie usunięci z Białego Domu. Takiego procesu oczyszczania Pałacu Elizejskiego z radykałów należy oczekiwać także we Francji. Współczesne państwa to niezwykle złożone organizmy i nie sposób kierować nimi jednoosobowo, a proces polityczny wymaga funkcjonowania zespołów, które nie będą narażone na proces

autodestrukcji, zatem najbardziej radykalni współpracownicy prezydent Le Pen, użyteczni, gdy pozostawała w opozycji, staną się dla niej obciążeniem, gdy zyska ona część władzy.

W przypadku prezydent Le Pen, kohabitującej z koalicją niechętnych jej partii tworzących rząd, nie będzie to władza lecz raczej wpływ. Wpływ Marine Le Pen na politykę francuską jest znaczny nawet w chwili, gdy wciąż jest w opozycji, tym bardziej interesującym będzie zobaczyć, jak wzrośnie on, gdy stanie się częścią francuskiego aparatu władzy. Jednak tylko uzyskanie większości w wyborach parlamentarnych, umożliwiającej utworzenie lub współutworzenie przez Front Narodowy rządu, pozwoliłoby jej na uzyskanie realnej władzy. Bez tego nie będzie ona w stanie zrealizować żadnej obietnicy wyborczej. Na przykład, ogłoszenie referendum w sprawie Frexitu przez prezydenta bez zgody francuskiego parlamentu wymagałoby aprobaty francuskiego trybunału konstytucyjnego, o którą dziś byłoby zapewne trudno. Zatem celem pani prezydent w pierwszej kadencji będzie nieuchronnie, o czym wspomniałem wyżej, wpłynięcie na taki rozwój sytuacji w kraju i za granicą, który pozwoli na poszerzenie elektoratu własnej partii i umożliwienie jej zwycięstwa w parlamencie, oraz pozyskanie przez tę partię „zdolności koalicyjnych”, które dziś są zerowe. Realnym efektem ewentualnego zwycięstwa w wyborach prezydenckich Marine Le Pen będzie dalsze „łagodzenie” wizerunku Frontu Narodowego przez pewną „deradykalizację” postulatów zgłaszanych przez partię, oraz jednoczesne kontynuowanie zwrotu na pozycje nacjonalistyczne, antyunijne, antyimigranckie i antyislamistyczne w polityce francuskiej, co powinno zwiększyć społeczną akceptację dla takich haseł we Francji. Politycznie będzie to trudny okras koabitacji pani prezydent z Frontu Narodowego z rządem(ami) tworzonym(i) przez partie głównego nurtu francuskiej polityki, które będą robić wszystko, by dalej nie tracić elektoratu na jej korzyść.

W polityce zagranicznej „eurosceptyczna” prezydent Le Pen może usiłować blokować proeuropejskie inicjatywy rządu francuskiego i jego współpracę z Niemcami na rzecz „pogłębienia” integracji, co z pewnością będzie hamowało niemieckie inicjatywy mające to na celu. Będą one zapewne postrzegane w Pałacu Elizejskim jako dążące do podporządkowania Europy Niemcom, a zatem niezgodne z francuskim interesem narodowym. Pani Prezydent może być także niechętna polityce kontynuowania europejskich sankcji wobec Rosji, chyba że jakieś drastyczne działania rosyjskie jednoznacznie wymuszą na niej konieczność udowodnienia, że wcale nie była ona „kandydatką Putina” o co, podobnie jak Donald Trump, stale jest oskarżana. Wiele zależeć będzie właśnie od tego, jak ułożą się przyszłe stosunki prezydent Francji z prezydentem USA – czy zadziała między nimi chemia, czy też nie. Można zatem spodziewać się schłodzenia stosunków na linii Pałac Elizejski – Berlin i Bruksela i próby rozgrywania przez Le Pen relacji z Niemcami i Unią Europejską, celem zwiększenia wewnętrznych korzyści politycznych. Skomplikuje to z pewnością jeszcze bardziej stosunki europejskie, ale ich całkiem, przynajmniej w pierwszej kadencji, nie wywróci. Jeśli chodzi o relacje z NATO, największym zagrożeniem mogłoby być podjęcie próby wycofania Francji ze struktur wojskowych Paktu (wzorem decyzji gen. de Gaulle’a z 1966 r.), ale i to nie zagrozi egzystencji tego sojuszu. Zatem ewentualne zwycięstwo Le Pen w wyborach prezydenckich nie powinno doprowadzić do zasadniczych zmian geopolitycznych, a jedynie do pewnych turbulencji w Europie. Niemcy nie będą mogły oczekiwać pełnego, tak jak do tej pory, poparcia dla swych „europejskich” inicjatyw, być może również Ameryka straci sojusznika dla swych globalnych zamiarów. Jednak jej prezydentura, jeśli nie będzie wsparta przez większość rządową, w radykalny sposób nie wpłynie na bieg spraw światowych. Świat

współczesny jest bowiem tak skomplikowany, że nawet prezydent takiego kraju jak Francja, bez szerszego wsparcia nie jest w stanie zmienić dominujących trendów.

Mogłoby jednak stać się inaczej, gdyby w ślad za zwycięstwem w wyborach prezydenckich doszło do decydującego zwycięstwa Frontu Narodowego w wyborach parlamentarnych, pozwalającego utworzyć tej partii rząd. To byłoby jednak zrzędzeniem losu wybiegającym nawet poza fantastykę i wkraczającym w obszar „cudu nad Sekwaną” – należy spodziewać się, że nawet przedwyborczy atak terrorystyczny na wieżę Eiffla nie byłby w stanie tego sprawić. Taki bieg zdarzeń rodziłby pokusę popuszczenia wodzów fantazji poza wszelkie racjonalne granice. Świadczyłby bowiem o radykalnej zmianie stanu świadomości Francuzów. Gdyby w ogłoszonym referendum zdecydowali się poprzeć wyjście Francji z Unii Europejskiej, organizacja ta mogłaby tego nie przetrwać, a z pewnością pogrążyłaby się w poważnym chaosie. Pozostałaby jej zapewne paniczna ucieczka do przodu, w postaci próby pośpiesznej realizacji wizji „Europy dwóch prędkości”, czyli mocniej integrującego się „jądra” z Niemcami na czele i powstaniu unijnych „peryferii”. Narastająca destabilizacja w Europie Zachodniej mogłaby doprowadzić do cyklu gwałtownych i nagłych wydarzeń, takich jak secesja Szkocji ze Zjednoczonego Królestwa i wejście Ulsteru w skład Republiki Irlandii, czyli rozpadu Wielkiej Brytanii (zostałoby Disunited Kingdom), wojna angielsko-hiszpańska o Gibraltar, która rozsądziłaby ostatecznie NATO, co oznaczałoby konieczność tworzenia nowego sojuszu militarnego w Europie. Wówczas stary europejski porządek uległby rozkładowi, co mogłoby skłonić ekipę prezydenta Putina do próby restauracji europejskiej części ZSRR, czyli zbrojnego podporządkowania Moskwie Ukrainy, Białorusi i krajów nadbałtyckich. Na szczęście jednak ten scenariusz jest tak mało prawdopodobny, że aż

niemożliwy, zatem wciąż jeszcze możemy spać spokojnie. Kolejny historii są na tyle głębokie, by nie wyrzucić nas wszystkich na jej pobocze. W każdym bądź razie jeszcze nie teraz.